

W ostatniej chwili zdecydowałem się powitać Nowy Rok na Huculszczyźnie. Pojechaliśmy tam na 6 dni. Zachęciło mnie głównie spędzenie tego wyjątkowego dnia w tradycyjnych, huculskich klimatach. Lubię poznawać nowe miejsca, ludzi, smaki, tradycje. Ukraińska Czarnohora oferuje to wszystko za nieduże pieniądze.

Byłem we Lwowie swoim autem w 2003 roku i staliśmy po 6-7 godzin na granicy w obie strony, zastanawiając się co ci celnicy robią w tych gazelkach (stróżówkach) czasem i przez kilkadziesiąt minut, nie odprawiając żadnego z aut. Latanie z karticzkami, łapówki, przemyt i handel paliwem, stacze wymuszający haracze, dziwaczne procedury i bałagan organizacyjny skutecznie mnie zniechęciły do wyjazdów w tamte rejony na 8 lat. Wyjazd autokarem ma jednak to do siebie, że udało nam się stać na granicy nie dłużej niż 3 godziny. Patrząc z zażenowaniem, ale i współczuciem na korek samochodów osobowych i bezradnych kierowców utwierdziłem się w przekonaniu, że mimo upływu lat tutaj nic się nie zmieniło. Nie mam pojęcia jak to rozwiążą ten problem podczas Euro2012.

W drodze do naszej kwatery zatrzymujemy się w przydrożnym, lokalnym browarze, w Mikuliczynie, gdzie smakujemy miodowe piwo. W Worohnie natomiast podziwiamy piękną, drewnianą cerkiew ze złocistymi kopułami lśniąca się w świetle zachodzącego słońca. Podczas jazdy słuchamy opowieści naszego przewodnika o Hucułach, Łemkach i Bojkach, słuchamy kołomyjek, takich miejscowych, zapętlonych przyśpiewek oraz podziwiamy krajobrazy Czarnohory za oknami autokaru, który kontrastuje swoją nowoczesnością z mijanymi marszrutkami, czyli zdezelowanymi busikami nieznanymi marek.

Nocleg mieliśmy zarezerwowany w sadybie "U Marii" w Bereźnicy, w samym sercu Czarnohory. Jest ciasno, ale za to mamy ciepłą wodę, saunę i toalety nie "na narciarza" czy - nie daj Boże - sławojki czyli drewniane wychodki na zewnątrz, co jest tutaj czymś normalnym. Gospodyni Maria zainwestowała jednak w standardy "prezydenckie", jak to tu określają, nastawiając się na turystów z Polski. Niektórzy z huculskich gospodarzy wciąż się dziwią czemu Lachy chcą mieć toaletę w domu. Żeby śmierdziało?

Niestety w dniu przyjazdu nie zastaliśmy śniegu, co nie przeszkodziło nam w wybraniu się na spacer po okolicy. Wieczorem ruska bania, tłuste huculskie jedzenie i obowiązkowo smakowanie miejscowego bimbru. W nocy spadł śnieg i część grupy wybrała się na narty do pobliskiego Bukovelu, gdzie europejskie standardy i 50 km tras zjazdowych robią wrażenie. Czarnohora w śniegu nabrała dodatkowego klimatu...

Kolejny dzień to wycieczka autokarowa na bazar w Kosowie. Oczywiście

nie do tego na Bałkanach, ale do małej miejscowości na Huculszczyźnie o nazwie Kosów (Kosiv). Na straganach można tam znaleźć dosłownie wszystko, poczynając o czeburków, miodów, bimbru, nalewek i innych przysmaków, czap z baraniej wełny, soroczek czyli ręcznie tkanych koszul, a skończywszy na ikonach i matrioszkach.

Zmierzamy do Kołomyi, gdzie mamy zobaczyć wielkie jajco ;) Faktycznie, znajduje się tam muzeum pisanek oraz muzeum huculskie. Posilamy się w miejscowej knajpce, niedaleko rynku, gdzie smakujemy przepyszną zupę soliankę, pielmieni czyli małe pierożki oraz inne lokalne specjały.

Sama impreza sylwestrowa trwa do samego rana. Przygrywa nam zespół "Hucuły". Uczymy się śpiewać kołomyjek, tańczyć po huculsku i grać na drumli, dudach, trembicie oraz cymbałach. Wlaliśmy w siebie morze bimbru i Medoffa, przegryzając niesamowicie tłustym, huculskim jedzeniem. Zabawa była przednia. Nowy Rok przywitaliśmy de facto dwa razy, godzinę wcześniej według czasu ukraińskiego i ponownie wg czasu polskiego. Choć przy okazji warto wiedzieć, że na Ukrainie dopiero 6 stycznia mają obchodzić Święta, a 14 stycznia jest u nich Małanka czyli Nowy Rok.

Galeria z Huculszczyzny

Pierwszego dnia Nowego Roku jedziemy do Lwowa. Nocujemy w hostelu "Mister" niedaleko głównego prospektu Swobody. Stołujemy się w restauracji szybkiej obsługi "Pyzata Chata", gdzie jest duży wybór dań po przystępnych cenach. Wieczorem robimy sobie clubing po lwowskich knajpach, ale ciężko nam znaleźć miejsce dla kilku osób, a co dopiero dla naszej 46-osobowej grupy. Dzielimy się więc na podgrupki i wraz z kilkoma znajomymi lądujemy ostatecznie w rockowym pubie, gdzie kosztujemy lokalne wina i piwa, słuchając klasycznych rockowych hitów. Decydujemy się też na spróbowanie okazałej sziszy z domieszką sambuki. Przy tej okazji tłumaczymy też naszej znajomej parze, że szisza to nie narkotyki, tylko aromatyczna fajka wodna, jednak postanawiają nas opuścić uznając, że to nie dla nich. Rozumiemy to i bawimy się dalej w nieco mniejszej grupie.

W drodze powrotnej do hostelu, na ulicy przyjmujemy życzenia od spotykanych młodych Ukraińców, z niektórymi życzymy sobie nawzajem sukcesów organizacyjnych i sportowych na Euro2012.

Następnego ranka udajemy się z przewodniczką na spacer po lwowskich świątyniach i na Cmentarz Łyczakowski. Kilkakrotnie podczas zwiedzania pojawiają się w naszych rozmowach tematy związane z trudną historią polsko-ukraińskich stosunków.

Na mnie największe wrażenie robi wnętrze kościoła ormiańskiego,

bogato i kolorowo zdobione oraz ciekawe opowieści naszej pani przewodnik o znanych Polakach pochowanych na Cmentarzu Łyczakowskim.

Galeria z Lwowa